



Adam Cebula "Cytat, czyli ten złoty róg"

nimfa bagienna



Przyznaję się od razu, że jakiś kontakt z literaturą wysoką utrzymuję głównie dzięki swej żonie, która musi mieć do obiadu dobrą lekturę, a tiwi używa do oglądania teatru. Jednakże pewne rzeczy zostały mi jeszcze z tak zwanych dawnych lat. A to z tej prostej przyczyny, że jeszcze kilkanaście lat wstecz dominowało pokolenie, które było zmuszone być, a nie mogło mieć. Niestety, chyba jestem już ze strefy przejściowej. Doświadczam przynajmniej trochę mieć, przez co nie muszę tak bardzo być. Ale...

Zdarzenie banalne, można powiedzieć: czegoś się człeku spodziewał? Siedzę se w robocie w swej kanciapie, ktoś wali w drzwi, drę się ile sił „wejść”, a nie wchodzi. No to wychodzę, patrzę - nikogo nie ma. Idę na salę, gdzie ćwiczą studenci, i pytam „Kto mnie wołał, czego chciał?”. Jakaś pani spogląda na mnie pytająco, więc dla pewności kończę „Zebrałem się, w com ta miał.”. No i? Gorzej. Mogę dalej „Jestem, jestem, na wesele przyjedzie tu gości wiele, żeby ino wicher wiał.”. Ale milczę. Na wszelki wypadek. Studenci są uzbrojeni w komórki, pstryk-pstryk, pojedę na obserwację w białym kaftanie z długimi rękawami, albo coś temu podobnego.

To się chyba nazywa różnica pokoleniowa czy coś, jak w ekskluzywnym świecie mówią. W każdym razie skutek jest taki, że ja swoje, oni nic. Poniekąd zrozumiałe, że gdy młodzi powiedzą swoje, to ja mogę nic, bo skąd mam wiedzieć, co? Ale, jak to się także bardzo uczenie mawia, powinny istnieć treści wspólne. Dokąd takowe istnieją, to jest jakieś razem; kultura, społeczeństwo, kupa, którą to kupą, mości panowie, z użyciem domyślnego orzeczenia, oraz z wykrzyknikiem. Nacierają albo co - dodam na wszelki wypadek.

Można powiedzieć, że psu na budę zda się erudycyjność czy erudycja, ale właśnie od tego momentu, od którego społeczeństwa dorabiają się własnych opowieści, legend, wierzeń, mitów, a być może - co najważniejsze - jakiejś świadomości historycznej, zaczyna się wielki pochód cywilizacji. Ależ tak! Jak spojrzeć na to, co potrafili starożytni Egipcjanie, to... nic nie potrafili. Ciężko się dopatrzeć, łąząc po salach muzeów, choćby jednego przedmiotu, który miałby na sobie ślad technologii w naszym rozumieniu. Był to zbiór prostych technik rzemieślniczych, tak prostych, że trudno sobie wyobrazić, by otaczające rodzące się państwo stare - bardzo stare, bo afrykańskie - ludy nie potrafiły czegoś takiego. Najstarszy lud Afryki, Khoisan, wedle badań DNA chyba mitochondrialnego liczy sobie jakieś 100 tysięcy lat. Cóż wobec jego historii znaczy całe trwanie współczesnej cywilizacji? „Nasza”, śródziemnomorska, to w porywach 2500 lat. Licząc od pierwszych miast na terenach bliższej nam Azji, może dociągniemy do jakiś 8 tysięcy lat. Może nawet potrafimy podczepić się pod prestiż trwania, pod pierwsze ludy zamieszkujące Europę jakieś 17-20 tysięcy lat temu, ale nadal będzie to pikuś wobec tych 100 tysięcy lat trwania jakiegoś plemienia.

Które najprawdopodobniej nie ma zielonego pojęcia o tym, że jest tak stare.

(<http://www.tygodnikprzeglad.pl/khoisan-najstarszy-lud-swiata/>)

Po pierwsze, nawet jeśli współczesny uczoney uświadomi przedstawiciela plemienia, jak długą ma ono historię, to ten najprawdopodobniej będzie w stanie opowiedzieć jego dzieje, zgaduję, ale jakieś dwadzieścia do pięćdziesięciu lat wstecz. Lat, nie tysięcy lat. Moja zgadywanka oparta jest na wiedzy o tym, jak daleko w historię sięgają wspomnienia rodzinne. Cóż: podobno babka mojej babki opowiadała o odrabianiu pańszczyzny. O ile mogę na podstawie dat urodzin ustalić, że to możliwe, to jedynie dzięki temu, że w podręczniku historii bez kłopotu sprawdzę datę, kiedy odrabianie na pańskim zniesiono. Nie potrafiłbym ustalić daty wybuchu pierwszej wojny światowej, pewnie nie wiedziałbym o przewrocie majowym, pomimo że stykałem się z ludźmi, którzy te zdarzenia przeżyli. Wiedza opowiadana obejmuje tak naprawdę czas życia jednego trochę bardziej długowiecznego człowieka. Dziś to jest jakieś osiemdziesiąt lat, dawniej dobre dwadzieścia lat mniej.

Piekielnie stare ludy Afryki nie miały swej ciągłości historycznej. Być może wiedza plemienna o użyciu ziół na choroby czy wykorzystaniu roślin jadalnych faktycznie jest wielokrotnie starsza od plemiennej pamięci historycznej, od tych pięćdziesięciu lat – prawie na pewno takich doświadczeń nie dałoby się zebrać w tak krótkim czasie – ale widzimy, że ludy bardzo młode, ci starożytni Egipcjanie, zafundowali sobie w pewnym momencie niesamowitego cywilizacyjnego kopa.

Co było jego istotą? Przekaz informacji. To dało poczucie ciągłości, jedności, to pozwoliło na organizowanie się dużych grup ludności. Jest mniej istotne, że bardzo skuteczną metodą informowania się było pismo, ale moim zdaniem najistotniejsze było, że w pewnym momencie ludzie zechcieli się komunikować. Być może było tak, jak się pisze w podręcznikach, że „Iliada” i „Odyseja” istniały wpierw w postaci wyuczonych na pamięć pieśni, być może równoległe z pomysłem wtłaczania do głowy sążnistych podań rozwijały się znaki i runy, które ułatwiały handlowe transakcje, czy którymi można było oznaczać miejsca pochówku znacznych mężów.

Nie wiem, jak to wyglądało detalicznie, ważne jest co innego: jak tylko pojawił się wspólny kontekst, możliwość wymawiania zaklęć zrozumiałych dla wszystkich, zawołań, które nie były prostym przekazem, ale, by je zrozumieć, trzeba było znać czy to podania, czy coś innego, wówczas cywilizacja wystrzeliła. Głupia i bezrozumna wedle dzisiejszych kryteriów erudycja okazała się chyba znakomitym smarem, dzięki któremu pokreśliła się machina postępu.

Jak to działa? Może tak: kto ja jestem? Polak mały. Jaki znak mój? Wiem wobec tego, że gdy zobaczę czarne krzyże, spierniczam ile sił w kierunku tych spod biało-czerwonej flagi, szachownicy, bo to moi, mimo że nie znam ich, widzę ich pierwszy raz w życiu. Prosty sposób na zorganizowanie wielkiej grupy ludzi. Pewnie to nie takie proste, ale...

Jak się ów wspólny kontekst gdzieś zapodzieje, diabli biorą, z grubsza WSZYSTKO. Tak – cywilizacja egipska została kompletnie zapomniana. Nie mieliśmy pojęcia, skąd się wzięły piramidy, że jest jakiś Sfinks, tak mniej więcej aż do XIX wieku. Przepadła kompletnie umiejętność czytania hieroglifów.

Jeszcze dobitniejsza jest chyba historia betonu. Był stosowany najpierw w Asyrii, potem w Rzymie (jak pisze Wikipedia, od mniej więcej 200 roku p.n.e.). No i wraz z Rzymem „sztuczny kamień” wyparował ze sztuki budowlanej. Pewnie – dokładnie nie wiem – na jakieś 1500 lat. Dopiero w 1824 roku Joseph Aspdin uzyskał patent na cement portlandzki i mniej więcej od tego czasu cieszymy się tym, co urwało się wraz z upadkiem Rzymu.

Powiesz mi, drogi czytelniku, że w dzisiejszych czasach jest już inaczej niż dawniej bywało, nie tylko tranzystory i silnik Diesla, ale także zmieniła się i rola, i waga kontekstu kulturowego. Za owych pradawnych czasów podania pełniły funkcję wiedzy wszelakiej, od medycznej, przez prawniczą, do technicznej. Dziś podzieliliśmy wiedzę na odpowiednie szufladki i – spokojna głowa – zawsze

odnajdziemy, co potrzebne. Tu paragrafy, tam poematy, ówdzie obliczenia.

W obliczeniach był błąd. Nie przeszedłem łatwo zadania, ale zderzyłem się z nim. Bawiłem się w rozwiązywanie tegorocznej matury; w pewnym momencie wydało mi się, że tym razem egzaminatorzy jednak mnie by mieli, ale popełniłem banalną pomyłkę. Zadanie okazało się tym, czym widziałem je od razu: szaradą haremową albo karcianą sztuczką. Rozwiązujesz je z palcem tam i tu, byleś dość długo siedział w karczmie z birbantami i znał ich obyczaje. Wkurzyły mnie te zadania maturalne, bo kolejny raz okazały się testem nie na znajomość ważnych dla inżyniera czy naukowca matematycznych własności, ale sprawdzianem znajomości pomysłów wesołej kompanii z centralnej lub ekscentrycznej komisji egzaminacyjnej.

Dawna tradycja była taka, że gdy mówiliśmy o logarytmach, to doskonale było wiadomo, co jest bardziej przydatne, a co mniej. To, co było bezpośrednio potrzebne do zrozumienia jakichś wzorków, w których pojawiały się owe logarytmy, to w pierwszej kolejności był niesłychanie wolny wzrost ze wzrostem argumentu, w drugiej przebieg funkcji dla małych argumentów w okolicy jednego i zera. Sprawy, które się zupełnie nie nadają na popisy nie tyle sprytu, co kontekstu, w jakim poruszają się autorzy zagadek.

Tak sobie pomyślałem: no i już wiesz. Byłem dumny jak paw, gdy czytałem recenzje książeczki, jaką zdarzyło mi się współpopełnić z kumplami. Tytuł może taki sobie „Upalna zima”, aliści zawartość doczekała się tego, co ucieszy duszę najbardziej wybrednego pismaka: pełnego spektrum opinii. Od pochwał na kolanach prawie do jakże wymownego oskarżenia o deprawację. Co – zwłaszcza ostatnie – z lubością sobie wspominam. Otóż przyznaję, że siedziałem w necie i czytałem wszystko, co potrafiłem znaleźć, no i nie znalazłem nic o bezczelnym nastawianiu na Lema. Albo przynajmniej wzmianki o tym, że Lema cytowano. Jeden z fragmentów pracowicie ozdobiłem tym słynnym zdaniem – „W obliczeniach był błąd”. Kolejne już było parodią Mistrza.

Przeszło bez najmniejszego echa. Zdanie zaczyna jedną z najważniejszych jego powieści, także jedną z najważniejszych dla polskiej fantastyki, i jak mi się zdawało, przynajmniej dla kultury rozumianej przez może wąską grupę ludzi, ale za to bardzo znaczących. To zdanie mówiło tyle, że idą czasy, gdy dramat będzie się dziać nie przez czyny herosów ganiających się z dzidami wokół Troi, nie przez podstępny polityków, przez te wszystkie efektowne elementy teatralnej scenografii – jak zdrady czy płomienne przemówienia – do tej pory trafiającej bez pudła do mas, ale poprzez obliczenia.

Lem miał sto procent racji. Od tego na przykład, czy nie tkwi błąd w obliczeniach dotyczących efektu cieplarnianego, zależy, czy kwoty w najwartościowszych walutach liczone na setki miliardów, ładowane w walkę z nim, mają jakikolwiek sens. Jeśli w obliczeniach jest błąd, walą się ogromne tany wodne albo systemy bankowe na całym świecie.

Na maturze wszakże umiejętność obliczania jest gdzieś w tle na szarym końcu. W literaturze, jak by nie kombinować, wróciliśmy do dramaturgii dzikusów z zastrzonymi kijami, biegających wokół palisady.

Jak sobie pomyślę, że na konwentach fantastyki mogę opowiadać, że jestem tak stary, że widziałem nie pierwsze, ale i świadkowałem ostatniemu lądowaniu człowieka na Księżycu, to na usta cisną mi się chyba jedyne na tę okoliczność słowa: „Miałeś, chamie, złoty róg”.

Adam Cebula